ROK I. Nr. 2.

WARSZAWA 29 PAŹDZIERNIKA 1921 R.

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

TREŚĆ NUMERU:



Redakcja i Administracja: Kopernika 23. II piętro.
Redaktor i wydawca: JÓZEF WIERZEJSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Rok I Warszawa, 29 Października 1921 r. Nr. 2

MYŚL NARODOWA

CZAS PRZEJRZEĆ

Zjawiska najprostsze i najbliższe w dziedzinie socjalnej z trudem docierają częstokroć do świadomości społeczeństwa, choćby była w nich jaskrawość płomieni. Rodzą się i rozwijają przykryte spokojną falą codzienności, ulegają jej pozornie, a w rzeczywistości powoli ją opanowują.

Tak jest obecnie w Polsce z działalnością komunistów.

Nam się zdaje wciąż jeszcze, że zjawisko bolszewizmu jest nieodłączne od rewolucji gwałtownej i krwawej, że to jest jedyna broń bolszewizmu, że jesteśmy w tej mierze wystarczająco zabezpieczeni.

Jest to złudzenie, któremu dzisiaj ulegają w równym stopniu rząd i społeczeństwo.

W jednym z ostatnich numerów organu berlińskich komunistów „Rote Fahne" donosi autor korespondencji z Warszawy tryumfująco: „jesteśmy panami ulicy".

W pierwszej chwili, każdy z nas uzna ten tryumfunujący okrzyk za naiwną przechwałkę

A jednak... spójrzmy w oczy suchym faktom.

W ciągu ostatniego miesiąca odbyły się w Warszawie cztery demonstracje, w czasie których ulicami przeciągały swobodnie grupy wnoszące okrzyki przeciw Polsce, na cześć Lenina i Trockiego...

W zeszłym tygodniu policja wyrwała z rąk oburzonej młodzieży bolszewika Dąbala, umożliwiajac mu prowadzenia przewrotnej agitacji przeciw państwu...

Na komisji prawnej w Sejmie opowiadał jeden z posłów o tem, jak funkcjonarjusze naszej policji prowadzą spokojnie dyskusje z bolszewikami na temat personalnego składu przyszłych rewkomów w Polsce.

To są fakty.

Bolszewizm w Polsce wybrał metodę skuteczną: przyzwyczajania rządu i społeczeństwa do swego istnienia.

I my się przyzwyczajamy, dziwiąc się i uśmiechając na przechwałki komunistów. Dyskutujemy w czterech ścianach o możliwości i niemożliwości bolszewizmu, w chwili kiedy powoli staje się on już panem ulicy, plugawiąc ją złorzeczeniami przeciw Polsce.

Siły bolszewików w Polsce są słabe i nie w nich tkwi groźba sytuacji, a w dziwnej apatji społeczeństwa i rządu.

Kiedy w czasie ostatniego pochodu kamunistów padły okrzyki „Precz z Polską" a stojąca na ulicy publiczność słuchała tego spokojnie, odezwał się ktoś głośno: kiereńszczyzna... Ludzie ze zdumieniem się oglądali i nierozumieli.

A tymczasem coraz głośniej, coraz zuchwalej idzie z komórek bolszewickiego spisku w Polsce tryumfujący okrzyk: „jesteśmy panami ulicy!"

Czas przejrzeć.

ZAKŁADZINY

Przewrót wojenny wysadził inteligencję polską z siodła. Cała warstwa społeczna, przodująca narodowi za czasów jego niewoli, w okresie wstrząśnień powojennych nie nadążyła zawrotnemu biegowi wypadków i zepchnięta do rowów przydrożnych traktu, na którym rozpycha się tłum spragniony władzy i używania, pozostała na uboczu, w kurzu, stratowana. z obitemi bokami, kwękająca i nadąsana.

Przez ostatnich sto lat z okładem warstwa ta wiodła naród ku wolności. Myślą i krwią, talentem i wiedzą, ofiarnością i więzieniem. Po utracie państwa, z niej naród czerpał soki żywotne, które zachowały go przy życiu. Była mu ona piastunką, która wpajała weń miłość przeszłości, ogrzewała go płomieniem nadziei, uczyła myśleć, kochać, tworzyć i wierzyć. Po wybuchu wojny umiała, w olbrzymiej swej większości, wczuć się w instynkt narodu i wskazać mu drogę do zbawienia. A gdy w wyniku tej wojny przyszły wyzwoliny Polski, znalazła się inteligencja polska bezmała poza nawiasem, w zupełnej poniewierce. Jak chochoł słomiany, który przez długą mroźną zimę chronił krzak róży, wyrzucono ją na wiosnę bydłu na ściółkę. Ow „mózg narodu", do której to nazwy inteligencja polska rzeczywiście rościć sobie mogła pretensje, stał się pod przezwiskiem u jednych „burżuazji", u innych „surdutowca" jadłem, spożywanem z dnia na dzień z taką bodaj troską o głowy, które go wydały, jak o łby cielęce, których mózgi służą za przekąskę nowych władców narodu.

Podobno jeden z wybitnych przewódców ludowych, gdy była mowa w rządzie o potrzebie przeprowadzenia jakiejś sprawy w opinji publicznej, miał się odezwać:

— Od czego mamy inteligencję? Zapłacimy, niech piszą...

Si non e vero, e ben trovato. Jeżeli nawet to *bon mot* jednego z współczesnych witeziów polskich nie jest prawdziwe, dobrze jednak charakteryzuje miejsce, jakie zajmuje, i rolę, jaką odgrywa inteligencja wyzwolonej Polski.

Otwierać oczu na to nikomu nie trzeba, każdy to widzi i czuje zarówno w życiu codziennem jak publicznem. Każdy widzi i... jest oburzony. Nie wiem, czy w kołach inteligencji jest temat konwersacji bardziej modny i ulubiony, jak sarkanie na Polskę dzisiejszą, na polską gospodarkę, na rządy polskie. Wprawdzie, jak powiada włoskie przysłowie, język ciągnie do chorego zęba, ale nikt jeszcze nie uleczył zębów śliną. To też

czasby już zaprzestać żalów jeremiaszowych, a starać się zrozumieć to, co się stało i dlaczego się stało. Zrozumienie zaś przyczyn tej metamorfozy łatwo doprowadzi do znalezienia remedjum, któreby ją odmieniło i tem samem przywróciło warstwie wykształconej miejsce poczesne w Polsce, jakie się jej należy w każdem społeczeństwie, chcącem należeć do rodziny narodów o cywilizacji i kulturze zachodniej.

Polska powstała po czteroletniej wojnie światowej i rodziła się przez trzy lata wojny z bolszewikami. Ta siedmioletnia zawierucha wszystkie istniejące w kraju stosunki wywróciła do góry nogami. Nauka, kultura, sztuka, nieoparte zresztą o jakikolwiek własny ustrój państwowy i pozbawione opieki rządu własnego, jeśli nie wprzęgły się w rydwan wojenny, zasnęły w letargu, złożone w lamusie rupieci, podczas wojny bezwartościowych. Wśród tragedji rodzinnych, w popiołach zgliszcz domowych, w ucieczce z siedzib własnych zamrzeć musiało wszelkie życie intelektualne. Dla tych, którzy niem żyli i z niego żyli, traciło ono powoli dzień po dniu swój urok, aż przestało być celem i potrzebą życia, tembardziej, że przestało dawać chleb codzienny. Największy wróg intelektu, głodny żołądek stał się troską ogółu i celem codziennych zabiegów.

Wbrew maksymle rzymskiej, że tylko w szczęku zbroi milkną muzy, dziś, gdy szczęk ten ustał, muzy milczą dalej. Kataklizm wojenny bowiem spowodował nietylko przewrót stosunków państwowych i prawnych, ale co więcej przeobraził psychikę narodu. Przez lat siedem najwyższą etyką było: bić! najmądrzejszą filozofją: fasować! Przez lat siedem w rowach strzeleckich największą wartością była poza męstwem siła mięśni, brak litości, odporność na wojenne trudy i brudy. Głębia myśli, zdolność krytyki, pragnienie wykwintu,—byli to wrogowie moralni, niemniej groźni od nieprzyjaciela niszczącego zdolność bojową wojska środkami mechanicznemi. Nic też dziwnego, że w masach, które przez siedem lat fizycznie, przez całą ludność męską, i moralnie, przez wytężenie wszystkich myśli w kierunku zwycięstwa, żyły wojną, dawne wartości straciły cenę, a nowe poszły w cenę.

Nowoczesny system wojny, w której nietylko biły się armje z armjami, ale w której walczył naród z narodem, przeobraził mechanikę życia społecznego. Zawieszenie swobód konstytucyjnych, rządy policyjne, zastój w produkcji, etatyzm, rozkwit socjalizmu państwowego — doprowadziły do zniwelowania indywidualności, do uczynienia ze społeczeństwa szarego tłumu obrońców i bronionych. Wśród obrońców wybijać się mogły tylko genjusze wojskowe, wśród bronionych indywidua zbrodnicze, tuczące się na powszechnej niedoli.

Na tę glebę, przez wojnę zoraną, padły dalej ziarna niesione wiatrem ze wschodu i oto widzimy dziś, że inteligencja od dawnego przewodnictwa przeszła do roli zaledwie cząstki

inwentarza żywego, potrzebnego w gospodarstwie państwowem, o której światlejsi z nowych władców mówią: „od czego ją płacimy", a ciemniejsi jeśli nie krzyczą na głos, to w myślach wołają: „dołoj gramotnyje!" Jest faktem, że olbrzymia większość narodu czuje do swej warstwy wykształconej głęboką niechęć i wszelki brak chęci, by uznawać ją, jaką swoją przewodniczkę. Jeśli dawniej ta niechęć klasowa wynikała z zawiści i poczucia swej niższości społecznej, to dziś jest odwrotnie bodaj. Płynie ona z przekonania o swej wyższości w społeczeństwie. W najlepszym razie czuje się dla smutnego losu tej warstwy litość i pozwala się w nowoczesnem ustawodawstwie polskiem na ulgi dla niej, jako dla upośledzonego biednego kopciuszka.

Taka jest mniej więcej sytuacja w Polsce warstwy wykształconej. Kto ją rozumie, ten wie, że nie lamenty sprowadzić mogą odmianę. Skutek żebraniny może być tylko w objawach litości. A po nich z tem większem przekonaniem ten i ów z nowych możnowładców rzec może:

— Od czego płacimy inteligencji...

Istniał u ludu naszego stary, całej bodaj Słowiańszczyźnie wspólny zabobon t. zw. zakładzin. Polegał on ongi na tem, że przy wznoszeniu nowych budowli dla zapewnienia szczęścia jej mieszkańcom wrzucano pod nie lub zamurowywano ofiary ludzkie. Do dziś dnia opowiadają sobie na Żmudzi, jak to Radziwiłł, budując zamek w Birżach, „założył" w jego fundamentach ofiarę z pary nowożeńców. Jan Karłowicz twierdzi, że dziś jeszcze w Rosji przy wprowadzeniu się do nowej chaty ucina się na progu głowę kurze i zakopuje ją pod głównym kątem izby. A w Polsce powszechne jest u ludu mniemanie, że cieśla może „założyć" nowobudowaną chatę na czyjąś głowę.

Żeby więc zakładziny przy budowie Polski nie odbywały się dalej „na głowę" inteligencji, trzeba raz wreszcie skończyć z biadaniami, drwinami i dąsami, z odwracaniem się tyłem do tego, co się w Polsce dzieje. Trzeba raz wreszcie zrozumieć, że nie w asymilacji z rozpychającym się tłumem prostaków, nie w podleganiu prawu mimikry wobec chamstwa, leży ratunek przed tego rodzaju zakładzinami. A przecież — i to najgroźniejsze — zmierzamy ku temu wielkiemi krokami.

Przemiana nastąpić może tylko wtedy, gdy zrozumiemy, że obowiązkiem naszym jest, nie oglądając się na nic, spełniać swój obowiązek twórczej intelektualnej pracy. Stańmy w szeregu budowniczych Polski, choćby w najskromniejszem miejscu, i kładźmy podwalinę pod ten gmach najtrwalszą: kulturę narodową.

A wtedy rychło warstwa wykształcona musi znaleźć się na pierwszem kierowniczem miejscu i nikt nie będzie mógł zamyślać o zakładzinach na jej głowę.

G-or

BADINGUET

II.

Lata rządów Napoleona Małego czy to jako Naczelnika Państwa (Chef d'Etat) wedle słów Konstytucji z r. 1851, czy później po zamachu jako cesarza z woli ludu błyszczą szychem sukcesów i tryumfów.

Prestige mocarstwowy Francji pozornie jest olbrzymi i promienieje na cały glob ziemski. Napoleon w dążeniu do odwrócenia uwagi społeczeństwa od spraw wewnętrznych, nie mając poważnych ambicji regenta, któremu zależy na solidnem konsolidowaniu się państwa, a trawiony tajemnie niepohamowaną żądzą nie tyle wielkiej sławy ile ciągłego rozgłosu, ciągłego stania na piedestale i odgrywania roli arbitra i rozjemcy we wszystkich sporach i konfliktach europejskich oraz protektora narodów oprymowanych i niewyzwolonych, kładzie cały nacisk na politykę zewnętrzną i występuje z inicjatywą swoją w całym szeregu spraw, które bezpośrednio Francji wcale nie tyczyły.

Nie posiadając żadnego ścisłego wykształcenia w prawodastwie, żadnego pojęcia o skarbowości, żadnych idei z ekonomji politycznej, mało się orjentując w ustroju administracyjnym i nie pogłębiwszy w sobie wiedzy socjalnej, z namiętnością i pasją szczęśliwego dyletanta, rzucił się natomiast w ryzykę i hazardy ciągłych interwencji na zewnątrz, nawet na najodleglejszych terenach. Dla swojego czysto karciarskiego nałogu grania ze wszystkimi partnerami, dorobił sobie nawet ideologję wcale efektowną, t j. tak zwaną: „zasadę narodowości". Frazes ten, będący ówczesną parafrazą dzisiejszej idei: samostanowienia narodów nadawał jego hazardowym poczynaniom pozór ciągłości, jakiegoś na wielką skalę programu politycznego, pozornie konsekwentnie przeprowadzanego. W rzeczywistości, w jego ustach t.j. w ustach niespokojnego o swój fotel czy tron arrivisty, uciekającego przed trudnościami i zawiłościami problemów wewnętrznych w efektowne angażowania się na zewnątrz, był tylko idealistycznym listkiem figowym przemyślnego przeniewiercy radykalnej demokracji z r. 1848, renegata idei republikańskiej i zamachowca cezarycznego. W miejsce wyzwalania warstw dolnych, którego się spodziewanopo rozgłosnym carbonarze, przyszło wyzwalanie narodów uciemiężonych, patronowanie walkom niepodległościowym we Włoszech, w Polsce, wszędzie. Jak „poważnie" i „głęboko" brał te tragedje narodów Badinguet, to demaskują kolejne fazy stosunku do Polski i Rosji, to kurczowe, gorączkowe i bezambitne ubieganie się o aljans z Rosją w latach 1853 (Kisielew), poczem 1857 (Konstanty Mikołajewicz) i znów w 1867 w międzyczasie zaś kokietowanie Polaków, legjon polski w Turcji, połowiczne i kabotyńskie popieranie powstania z r. 1863 ze słynnem: Durez! Durez!... i znów paradowanie z Aleksandrem II podczas wystawy z r. 1867 i dusery dla dy-

nastji Holstejn-Gottorp. To samo w stosunku do Włoch, w których jedności obronie popłynęły strumienie krwi francuskiej na to tylko, by po podnieceniu i rozbudzeniu nadziei w decydującym momencie opuścić ich sprawę, rozdrażnić i rozżalić do Francuzów, wzbudzając istną gallofobię w narodzie, który tyle zawdzięczał francuskiemu żołnierzowi. Ta sama niestałość i zygzakowate niekonsekwencje w stosunku do Austrji, drażnienia i zaczepiania zamiast korzystnej dla Francji przyjaźni, opuszczanie sujusznika w decydującej chwili, Sadowa, przyczynienie się do wzrostu Prus, wreszcie ukoronowanie tych wszystkich błędów, zmian kursów i przewracań aljansów nieszczęsną wyprawą meksykańską.

Regent romantyk rozmiłowany we wszyskiem co politycznie ekscentryczne, dziwaczne, bizarre postanawia w Ameryce stworzyć państwo potężne, szachujące Stany Zjednoczone pod bokiem Stanów Zjednoczonych. Przeniewierca republikanizmu rozpala się do cesarstwa meksykańskiego. Wróg Austrji, ażeby skokietować dynastję Habsburską obiera sobie arcyksięcia Maksymiljana za objekt swych romantycznych eksperymentów. W decydującym momencie opuszcza go, zostawia na pastwę egzotycznych Meksykanów i w rezultacie zyskuje Francja śmiertelne rozżalenie Austrjaków i ich dynastji. Na zewnątrz współcześnie wygląda to wszystko nawet efektownie. Wojska francuskie biją się wszędzie i wszędzie zwycięsko. Flota francuska pod Wenecją i na Oceanie Spokojnym, na Morzu Czarnem. Syrja, Algier, Kochinchina, Chiny. Jeden wódź pali pół Pekinu, drugi wprowadza na tron Montezumy arcyksięcia, przyszłego wasala; Montebello, Magenta, Solferino. Napoleon jest na ustach wszystkich, ciągle, stale, bez przerwy, czoło jego zdobi złoty łaur zwycięzcy i tryumfatora, kochają się w nim na zabój wszystkie damy i pensjonarki, drugo i trzeciorzędni literaci opiewają jego zwycięstwa, jego Fortunę, jego skromność ujmującą i prostotę postawy.

Pod piórem subwencjonowanych pismaków szczęśliwy hazardeur i spiskowy wyga wzrasta do wymiarów Turenjusza i Maurycego Saskiego. Sprytny hypnotyzer melancholją swego spojrzenia i powagą myślącego czoła zniewala wszystkich i najoporniejszych. Thiers i Cavaignac na jakiś czas idą za kraty. Nieprzebłagańcy uciekają zagranicę, lub są deportowani do Gujany lub na... ambasadorów. Jakiejkolwiek opozycji nie porwanej i nie entuzjazmującej się tymi pyrotechnicznymi widowiskami politycznego mistyfikatora zamyka się i knebluje usta argumentami w tym guście, że Badinguet uratował przed komunistami, że gdy Badingueta nie stanie hydra rewolucyjna znów podniesie łeb stugłowy i Francja popadnie w chaos, że w porewolucyjnej, rozburzonej i rozkołysanej socjalnie Francji osobistość, symbolizująca Francję, winna stać poza dyskusjami, poza obrębem krytyki, winna być „tabu", choćby nawet w jej biografji

były brudnawe plamy i ciemne lub wydarte karty. Na nic się zdały kontrargumenty impregnowanych na uroki koronowanego prestigitatora i przewidujących do czego po latach tłustych i błyszczących doprowadzi to ciskanie Francją na wszystkie fronty i we wszystkie afery, to stwarzanie sobie wieloletnich wrogów z jednodniowych przyjaciół, ta blaga z wyzwalaniem narodów uciśnionych i to balansowanie wewnętrzne od reakcjonizmu do radykalizmu, od liberalizmu do dewocji, od Walewskiego do Olliviera, od Plon-Plona do Ojców Jezuitów. W miarę jak dzielny żołnierz francuski zwyciężał to tu, to tam, w miarę jak inżynier francuski to przekopywał Kanał Sueski, to stawiał sztuczne miasto wystawowe z produktami zaciętej pracowitości francuskiego chłopa i rzemieślnika, wszystko co dobre, twórcze i pozytywne szło też na benefis i ad maiorem gloriam tuilleryjskiego komedjanta, rósł kult dla Bonapartyzmu u kobiet i artystów, wzmagała się popularność wśród chłopstwa. Darto w strzępy na ulicach Pillotela w „Lucyferze" karykatury przyszłego Sedańczyka, palono numery „Lanterne" „Figara", Rappelu i „La Rue" Vallesa, gdzie bez ceremonji obchodzono się z tym „Bożym pomazańcem", „dzieckiem rewolucji", z tą „niezapoznaną miernotą" z „arbitrem Europy", z „wyzwalaczem narodów", przygotowującym tak mozolnie przyszłą straszliwą izolację Francji w r. 1870. Ale Badinguet już kpił sobie wogóle ze wszelkiej opozycji. Viktor Hugo grzmiał z oddali, młode adwokaty zdzierały gardła po klubach i klubikach, we wszystkich stolicach europejskich legitymistyczna dyplomacja kręciła nosem nad tupetem, apodyktycznością i niespodziewanymi, nieobliczalnymi „ideami" tuilleryjskiego uzurpatora, który w tej stronie Europy tak mocno rozbudził ducha militarystycznego wpędziwszy w podziemia ducha rewolucyjnego; anarchiści znowuż i garibalduanie już szykowali bombastyczne zamachy.

Tymczasem jednak Napoleon I siedział jeszcze mocno na swoim teatralnym tronie, wsparł go bowiem przezornie na dwóch potężnych karjatydach pozornie wrogich sobie a jednak przezeń też skaptowanych i w rydwan wielkiego histrjona zgodnie wprzągniętych, t.j. na żydostwie i na klerykaliźmie. Choć bowiem libre penseur i libertyn z krwi i kości, choć masońską atmosferą skroś przesiąkły i w gronie swoich karbonarów z religji dworujący, umiał się kameleon przełamać i przezwyciężyć swe pogaństwo „dla miłego berła" i w narodzie ultrakatolickim na kilka już nawdzianych masek przybrał jeszcze maskę wierzącego katolika.

Ukoronowawszy już raz swą głowę wypomadowaną brał odtąd udział we wszystkich ceremonjach kościelnych z twarzą zbożną i skupioną, modlił się pod figurą, klękał, żegnał święconą wodą, całował krucyfiks pokornie, byle to tylko tłumy widziały, byle mu zapomniano lata włoskie, szwajcarskie, amerykańskie i jego socjetę z lat górnych i chmurnych.

Choć „djabła miał za skórą“ umiał być nawet więcej papieski niż sam papież sprytny Badinguet. Równocześnie ponieważ hypokryzja i dwulicowość była jak bywa zawsze drugą naturą tego typu awanturników na tronach czy fotelach prezydenckich, więc temu samemu papiestwu zadał swoją polityką pokątną najcięższe ciosy, któremu oficjalnie palił wszystkie kadzidła, przed którem klękał bogobojnie a ostentacyjnie. Z inspiracji Kurji Apostolskiej celem niesienia cywilizacji łacińskiej w Ameryce rozpoczął nieszczęsną awanturę meksykańską ale znowuż za podszeptem szatańskiej wolnej myśli opuścił potem i zdradził swego faworyta arcyksiążęcego, wystawiając go na egzekucję rozstrzelania...

Drugim filarem tego tronu cesarskiego w stylu Offenbacha i Winterhaltera było bogate żydostwo paryskie. Czasy władztwa tego arcykatolickiego ex-rewolucjonisty, to era pierwszego rozrostu i rozpanoszenia się kapitalistycznego Semitów w Paryżu. Każda wojenka, każda eskapada, każda militarystyczna fantazja Badingueta to woda ze złotym piaskiem na giełdziarskie młyny spekulantów Semickich. Sztuczna ekspanzja i terytorjalne nabytki kolonjalne szły w parze z nagłym niezdrowym nie ewolucyjnym rozrostem przemysłu i handlu a głównie spekulacji giełdowej. Powstaje Credit Fonçier, Credit Mobilier i tysiące tysięcy towarzystw akcyjnych, spółek, zrzeszeń; fortuny wyrastają na drożdżach a febris aurea i gorączka akcyjna porywa wszyskich i dwór i ministrów i deputowanych i jeneralicję. Za panowania tego „platonicznego socjalisty“ kładą się fundamenta pod rządy dynastji bankierskich: Fouldów, Rotschildów, Pereirów, Cremieux, Alcanów, Simonów, Millandów, Naguetów, Halevych, Loevych, Dreyfussów, Waldek-Roussów i Rejnachów. Nakładcy pism rządowych, podtrzymujący prestige arcykatolickiej pary Napoleona i Eugenji noszą nazwiska: Schiller, Cerff, Doltinger, Deutsch, Lewinsohn. Modnym filozofem sfer dworskich i bonapartystycznych jest żyd Seé. Historjografem Francji Badingueta jest żyd Adrien Marx: W operze Meyerbeer, Halevy, Weiss „Żydówka“ „Żyd polski“, w malarstwie żyd Rochegrosse, Izrael itp., w teatrze Rachel Judic, Sara w literaturze charakteryzowani na monarchistów. W najbliższem otoczeniu wielką rolę odgrywająca żydówka rosyjska, Lachmanówna z Berdyczowa, późniejsza madame La Paiva, Egerja tego Cezara w damskim formacie.

Koroną zaś a zarazem symboliczną figurą tego cesarstwa, tego dworu, tego majestatu to spowiednik cesarzowej i wielki jałmużnik Jezuita pater Bauer... wychrzta... Trzeba przypomnieć sobie literaturę belletrystyczną owych czasów Ponson du Teralla, Paul de Koka, Suego, Montepina, Gaborieugo, Dumasa-syna, Auglera, trzeba przypomnieć sobie „Madame Bovary“ Flauberta, pamiętniki Goncourtów, Rougon-Macquartow Zoli, La France Juive Drumonta, „Safo“ Daudeta, pamiętniki Olliviera aby uprzytomnić

i stworzyć sobie obraz obyczajowy społeczeństwa francuskiego z czasów kiedy „naczelnikiem państwa“ była wyłoniona z mętów rewolucyjnych postać tak problematyczna, niejasna i dwuznaczna jak synowiec „Robespiera na koniu“ „man of destiny“, który po przez liczne bramy tryumfalne wiódł Francję z kapitolów Napoleona I na tarpejską skałę Sedanu.

Adolf Nowaczyński.

U ŹRÓDEŁ MOCY.

Z wierzchołka największego na świecie drapacza oglądam panoramę Nowego Jorku. U stóp moich dwudziestopiętrowe domy wydają mi się teraz nędznemi lepiankami, ledwie widocznemi z góry. Przez mgłę dymu widzę na wschodzie ciemne smugi mostów, przerzunych przez Wyspę *Manhattan* na *Long Island* i łączacych właściwe miasto New York z Brooklynem.

Nad ciemno stalowym szafirem *East River* wiszą ich ciemne, ciężkie sylwetki: wysoki most Brokliński i smukły *Manhattan Bridge.* Za niemi we mgle chaos plam żółtawych: to *Brooklyn.*

Ku południowi przesłonięte zielenią plamy *Battery place* i *South Ferry* a za nimi daleko, jak okiem sięgnąć skrząca się w słońcu płaszczyzna zatoki Górnej. Małe wysepki na niej: to słynny *Ellis Island* i *Bealock Island* z Posągiem Wolności. Ciężka jego sylwetka gubi się we mgle i tylko w nocy wynurza się z ciemności w promieniach całej sieci reflektorów, umieszczonych po rogach wyspy.

Ku zachodowi las masztów. Olbrzymie kominy tytanów morskich zaścielają niebo szarą kurzawą. To przystanie nowojorskie, na wiele mil ciągnące się od południowego cypla Manhattanu po obu jej stronach daleko na północ. Wszystkie marynarki handlowe całego świata moglyby znaleść naraz wygodny przytułek w tych karawanserajach potworów morskich. Same doki *Chelsea* ciągną się wzdłuż *West street* na tysiąc przeszło stóp, a na dla największych statków, dawniej pływających pod flagą *„Hamburg Amerika“* już nie starczyło miejsca na tym brzegu Hudsonu i musiano przenieść je na drugą stronę rzeki, do *Hoboken* w obrębie *New Jersey.*

Jestem na szczycie „Wolworth Building“. Jest to najwyższy na świecie dom mieszkalny bo mierzący o trzysta stóp więcej niż najwyższa z piramid o dwieście pięćdziesiąt stóp wyższy od katedry Kolońskiej i ustępujący jednej tylko na świecie wieży Eiffla.

Największy na świecie port...

Najbogatsze na świecie miasto bo oszacowane na *osiem przeszło miljardów dolarów* wartości.

Najdłuższa na świecie ulica *Broadway*!..

Jeden krok z tego domu, a będziemy mogli odjechać najszybszą na świecie koleją z najpiękniejszego i największego na świecie dworca. ...Dwanaście godzin podróży ku zachodowi północnemu i obaczymy

największe na świecie stalownie *Steel Corporation*. Największe rzeźnie w Chicago, największe młyny w Minneapolis.

Jakiś kraj supelatywow, stolica międzynarodowych rekordów...

Prawda natura zaopatrzyła kraj ten z hojnością niesłychaną: dała mu cudowne naturalne porty, spławne rzeki, niewyczerpane bogactwa, kopalnie nafty, kamiennego węgla, złota...

Skała, na której stoi Nowy Jork, pozwala na stawianie budynków, niemożliwych gdzieindziej.

Prawda, że kraj ten ma klimat pozwalający na dojrzewanie winogron nawet na północy aż nad linią wielkich jezior.

Prawda, że świat cały od czasów Kolumba dostarczał Ameryce ludzi najbardziej przedsiębiorczych, tych, którym zaciasno było u siebie w domu.

Co jednak uczyniło z tego społeczeństwa materjał tak znakomity, co pomogło mu zużytkować tak umiejętnie dary natury i na każdem miejscu, w każdym zakresie„ postawić rekord” ludzkiej pracy i przemyślności?

Na *Broadway* wielki odpływ popołudniowy. Godzina piąta wybiła, wszystko co żyje ucieka gdzie może z bezmyślnych, nieforemnych pudeł, „*buildingów*“, *Subway*, *elevated*, *streetcars*, *bus*, wszystko to przepełnione pędzi *up town*—w górę miasta.

Dopiero gdzieś w okolicach *City Hall Park* zaczyna się spokojniejszy ruch tych, którym się już nie spieszy, którzy poprostu gapią się na przechodniów, lub wystawy sklepowe — ten sam co na całym świecie tłum, szukający rozrywki czy odpoczynku.

Lecz tu nie czekają na niego ani pokusy wielkich Bulwarów ani rozkosze „*Calea Vittoriei*“, ani nawet carogrodzkiego *Jardin Des Petits Champs*. Zblazowany europejczyk nie znajdzie tu nic, coby mu mogło przypomnieć mniej cnotliwe cechy z *Grabenu* lub *Corso Vittore Emanuele*...

Na prawo przy samym przystanku tramwajowym jakaś grupa przechodniów, jakieś śpiewy. Tuż na chodniku stoi fisharmonja, otoczona przez kilku wiernych. Śpiewają jakiś hymn, ledwo dosłyszalny wśród tego piekielnego hałasu, pędzących samochodów i wszystkich innych środków lokomocji.

Tam dalej stół składany kołysze się pod ciężarem mówcy. Pot leje się z niego gradem, ma głos jak trąby jerychońskie, lecz słychać go tylko o kilkanaście najwyżej kroków.

Jeszcze dalej jakiś kapłan wzywa do życia cnotliwego, opisuje rozkosze pokuty i czarną rozpacz zbrodni.

U stóp *Post Office* mała orkiestra. Nikt nigdy nie powie o tych ludziach, że są muzykalni. Trudno nawet powiedzieć, czy grają czy poprostu usiłują jak najskuteczniej rozstroić instrumenty.

To adepci generała Bootha, żołnierze „Armji Zbawienia”. Olbrzymiej szerokości szarfy kolorowe, fantastyczne stroje, dziwne postacia. Przestają naraz grać i przemawiają. Jak i oczem — dużo by się dało o tem powiedzieć. Lecz i tu szukają prawd jak umieją zawsze jakiejś prawdy...

Mijam ich i wchodzę do jakiegoś dziwnie niskiego wśród tych mastodontów żelazobetonowych budynku. Ledwie zdążyłem usiąść na ławie, już czuję czyjąś dłoń na swem ramieniu i głos nieznany pyta mnie: — bracie mój, czy ty kochasz Chrystusa?

— — — — — — — — — — — — — —

Niedziela. Amerykanin używa dobrze zasłużonego odpoczynku. To znaczy, że zamiast o siódmej zrywa się o szóstej, zamiast spokojnie skierować się swoim „*subem*“ do biura, spieszy na złamanie karku na stację kolejową, tam zdobywa bilet w kolejce, której nigdy nie bywa w dniu poprzednim. W szczelnie wypchanym pociągu leci gdzieś *to the country*. Tam czeka go automobil, więc przesiada się, ażeby znów godzinę pędzić na *Starved Rock* lub na *Coney Island*.

Tu musi do znużenia i ostatecznego wyczerpania grać w *base ball* lub *cricket*, a może w *foot ball*, potem tańczyć tak długo aż orkiestrze pomdleją ręce od grania. A potem wszystkiem zmęczony siądzie do wagonu, nawpół senny dojedzie do domu i zaśnie w wannie ze znurzenia.

Lecz wśród tych fanatyków sportu, dla których w ciągu dziesięciu tygodni tego roku najważniejszą sprawą było: kto zwycięży — Carpentier uroczy, poetyczny francuz, czy „*slacker*“ chociaż całkiem amerykański Dembsey, — dla tych sportowców zwarjowanych i opętanych, zapamiętałych, przegimnastykowanych i przećwiczonych na jakieś maszyny o stalowych linach zamiast muskulatury, — wśród tych samych studentów i clarcków, businessmanów i tradesmanów rekrutuje się co niedziela wielka armja prelegentów w szkółkach niedzielnych. Mówią o czem kto potrafi, lecz najczęściej i najchętniej o tem jak się stać w każdym zawodzie, na każdym stanowisku możliwie najbardziej „*Efficient*“ — najbardziej produkcyjnym, najbardziej wydajnym — bo to jest istotna miara wartości ludzkiej w Ameryce.

A jest tych prelegentów sporo. Na sto pięć miljonów ludności całych Stanów liczy ta armja pełne *dwa miliony*, dwa procenty ludności zajętej szerzeniem oświaty, niosącej nie tylko bez hałasu, lecz bez pomocy poezji swój oświaty kaganiec.

A ten opętaniec pracy gwiżdże sobie na wszelkie przepisy europejskich próżniaków o ośmiogodzinnym dniu. Na siedem milionów robotników amerykańskich tylko 11 procentów pracuje 48 godzin tygodniowo, pozostałe 89 a więc przeszło sześć milionów pracują znacznie więcej aż do 72 godzin tygodniowo, a takich, którzy pracują przeszło 54 godziny jest połowa, a więc $3^1/_2$ miliony.

Dlatego też każdy niemal robotnik ma tam własny domek, a co drugi własne auto, dlatego też nigdzie praca niema takiego poszanowania jak w Stanach i dla tego też ludzie umieją tam pracować i na wszystko mają czas.

— — — — — — — — — — — — — —

Podziemnym ekspresem zjeżdżam teraz *down town* ku południowej części miasta i wysiadam w pobliżu *Wall Street*.

Słońce jest jeszcze wysoko i skwar panuje piekielny. Lecz dokoła mnie ani żywej duszy. Olbrzymie wielopiętrowe szafy z piętrami zamiast szuflad, symetryczne, martwe i bezmyślne. Nie trzeba pytać—odrazu widać, że tu przecież nikt nie może mieszkać.

Istotnie tak jest i po piątej nikogo oprócz detektywów i gapiących się cudzoziemców tu się nie spotka.

W tej przepaścistej czeluści, w tym rowie na kilkaset stóp głębokim, jaki tworzą te drapacze z ulicy nowojorskiej, panuje tajemniczy półmrok. Każdy krok powtarza echo, przytłumione zgrzytaniem podziemnej kolei.

Przedemną majestatyczny *Stock Exchange*, za nim niezliczone banki, Schiff, Kuhn, Warburg, Frankfurter,—tyle nazwisk tak bardzo zrozumiałych tu nad Wisłą...

A ileż im podobnych kryje się tu wśród marmurów *Drexel Building* w szarym czworoboku *National City Banku, Sampson Building*, *Cotton Exchange?*

Tu ważą się losy walut całego świata, tu za temi ścianami ukryte bezimienne anonimowe mocarstwo popycha do wojny, decyduje o pokoju, stąd padały głosy ważące o losach Polski, stąd przyszły hasła do szerzenia wiadomości o pogromach w Polsce, tu znalazły się fundusze „na prace towarzysza Trockiego", stąd wyszedł za podpisem Schiffa i towarzyszy ów kablogram, żądający po raz pierwszy plebiscytu na Górnym Śląsku.

Stąd szły nici kierujące całą prasą amerykańską, tu powstały dumne marzenia o panowaniu nad światem, nad pogardzanym światem pokłóconych i zbałamuconych „goim".

Stąd też wyszły na Stany Zjednoczone najcięższe ciosy w czasie wojny. Tu opłacano propagandę pokojową, tu finansowano to wszystko, co miało wytrącić Ameryce broń z ręki.

Stąd w roku 1914 donosił agent niemiecki D-r Strauss sztabowi niemieckiemu, że prasa żydowsko-amerykańska jest na usługi sprawy niemieckiej.

Aż pewnego poranku dobroduszny sportowiec amerykański spostrzegł, że nie wszystko dokoła niego dzieje się tak jak w porządnej grze, że pewien gatunek mieszańców amerykańskich — *hyphenated aliens* nie robi sobie żadnej ceremonii z prawidłami gry, że gra, aby wygrać, a o resztę mu nie chodzi. Zrozumiał, że w tej grze chodzi mu nie o kubek czy żeton, nawet nie, championat, lecz poprostu o to czy on sam ma mieć „*Control*" nad własnym domem i krajem, czy może ktoś zgoła inny ma nad tem zapanować!... Długo się temu przyglądał, długo kalkulował na wszelkie sposoby tworzył komisje, badał świadków, sprawdzał dokumenty, obliczał możliwe straty.

Potem dostał do ręki sprawy bolszewickie w Rosji, skrupulatnie je zbadał, zestawił z „Protokułami mędrców Syonu".

Nie zastanawiał się zbytnio nad ich autorstwem, tylko poprostu skonfrontował je z robotą towarzysza Bronstejna i stwierdził, że jest to ta sama „*foul play*", którą chciano mu zagrać w domu.

Po tem wszystkiem już nie rozmyślał tylko starał się być jak najbardziej „efficient“.

Na wezwanie rządu dał 700.000 ochotnika do wielkiej armii detektywów. Utworzył towarzystwa patrjotyczne, zaopatrzył je w cały arsenał środków walki, pozakładał specjalne pisma, sprzątnął bolszewików jacy gdzie byli pod ręką a potem, nie przerywając ani piłki nożnej, ani boksu, ani *base ball*, zaczął swą wielką grę „*big game*“ — polowanie na bolszewików.

Nie na żydów — broń Boże! Przecież każdy w tym kraju ma równe prawa niezależnie od tego czy jest w większości czy w mniejszości.

Inna rzecz, że ci bolszewicy to jakoś ciągle byli żydami.

Inna rzecz, że „*American Hebrew*" i „*Jewish Chronicle*" nie mogły powstrzymać się od wyrazów zachwytu nad Trockim; inna rzecz, że ich opinia upatrywała w rewolucji bolszewickiej „dzieło geniusza żydowskiego" i zapowiadały światu, że „geniusz ten" będzie dążył do tych samych rezultatów w innych krajach „bo najbardziej nowoczesna demokracja chrześcijańska nie budzi w żydzie większej sympatji, niż najstraszniejsze prześladowania średniowiecza“.

To już była sprawa samych żydów.

„O ile żydzi jeszcze mają proroków, pisał wówczas „*Dearborn Independent*", niech prorocy przekonają ich, żeby zawrócili ze złej drogi".

A wobec tych, którzy na tej drodze chcieliby wytrwać w dalszym ciągu, wobec tych, co w myśl „Protokułów“ dążyli w dalszym ciągu przez wichrzenia rosyjskie do panowania nad światem, dla tych wszystkich znalazł spokojny ale na stal zahartowany sportowiec amerykański dość smoły i pierza aby dokonać czysto amerykańskiej operacji: *tar and feather*, dość miejsca w swoich kryminałach i dość energii na wyboksowanie bolszewików na obu półkulach.

A przedewszystkiem: nie czekał na swój rząd. Pomagał mu w dobrej sprawie, lecz nie zapomniał o tem że i ten rząd jak wiele innych mógłby powiedzieć o sobie:

— my dyplomaci boimy się tylko żydów nikogo więcej...

— — — — — — — — — — — — — — —

Z dusznej i ciemnej fosy *Wall Street* spieszę na południe do cypłu *South Ferry*. Tu zwęża się wyspa Manhattanu i kończy szklaną kopułą *New York Aquarium*. Ocean oddycha szeroką piersią, zmiatając kurzawę miejską z toni zatoki, odsłaniając małe wysepki. Zachodzące słońce żegna je rykiem gdzieś na horyzoncie potężne gardziele okrętowych syren. Setki pracowitych *tugs* prują lustrzane fale, małe pękate *steamers* lokalne przesłaniają wszystko obłokami dymu.

Promienie zachodzącego słońca złocą ostatniem musnięciem stal, zatoki. Błysnęły pierwsze reflektory na *Bedlocks Island*. W jarzącem ich świetle zajaśniał naraz w całej swej masywnej potędze z olbrzymią pochodnią w dłoni wyciągniętej gdzieś ku tajemniczym źródłom amerykańskiej niezużytej mocy Posąg Wolności—*Statue of Liberty*.

Stanisław Zieliński.

PUSTE ORZECHY

DEMAGOGJA.

Co to jest demokracja nowoczesna w stosunku rozwojowym? Napoleon określił to krótko: „carrière ouverte oux talente“, czyli współzawodnicza atletyka sił, wyciąg pracy. W taki sposób rozumieją „demokrację“ Amerykanie. Stara Europa chora jest na demokrację. Jeżeli demokracja wolna jest orzechem o twardym jądrze, to demokracja demagogiczna to orzech, w którym robak starł jądro na próchno. Stłuc skorupę i wyrzucić na śmietnik. Swinia tego nie zje.

Walka o uregulowanie pracy to szczytne zadanie nasze. Praca, rzecz zrobiona, twórczość jest źródłem prawej ambicji, a prawa ambicja to legitymacja wartości. Jesteśmy w ośrodku samego zagadnienia cywilizacji. Iści się legenda Prometeusza. Trzeba iść naprzód śmiało, z wystawioną piersią, bezwzględnie przezwyciężając opór.

Ale prohibizm pracy, jej tamowanie w imię pustej utopji (i geszeftu) socjalistycznej to Kaliban, poczwara zastępująca drogę wolnemu człowiekowi, idącemu z siekierą karczunku. I siekiera musi spaść na kark Kalibana. Ważniejszy korczunek i zasiew zboża nad istnienie Kalibana.

Wzbranianie dłuższej pracy komuś, kto chce zarobić lub oszczędzić na swoje specjalne upodobania lub potrzeby, jest to mord idywiduum czyli ni mniej więcej jak zabijanie duszy. Wół na wiosnę, czując posiew, ochoczo idzie do pługa. Koń w żniwa rączo krząta się u woza, czując, że zwozi chleb. Ale twóca z Tworek spada poniżej bydlęcia.

Cóż się dzieje w Polsce? Z domu warjatów rozbiegli się lokatorzy i trzeba dłuższego czasu, aby pochwycić ich w kaftany bezpieczeństwa.

Demokracja w Polsce dotychczas jest frazesem, (bliźniaki socjalista i pasterz), musi stać się faktem.

CAROMANJA.

A w tej skorupie co spróchniało? Mówią, że nienawidzą moskiewskiego caryzmu, a naśladują go, jak nasiąknięte nim gąbki przypominając prawdę biblijną: z cara powstałeś w cara się obrócisz.

Istnieje tak zwane P. A. T., czyli rozsyłasz półurzędowych telegramów. Ow rozsyłacz z okazji wizyt Naczelnika Państwa po różnych miastach posługuje się stylem informacyjnym hurkowo-skałłonowskim ulepszeniom do doskonałości. „Pociąg stanął, muzyka zagrała hymn narodowy, N. P. wyszedł, przedstawiali się dygnitarze miejscowi, domy były przystrojone w flagi (pod dozorem policji), szeregi i szpalery młodzieży i. t. d....“

Do jakiej to kultury należą takie obrazki? Dla czego znieważają tak bezecnie urząd Naczelnika Państwa? Jakiż to

bajeczny materjał dla agitacji komunistyczno żydowskiej; „Patrzcie jakie to, robaczywe". Z caratów powstałeś, w carat się obrucisz.

Więc, ruinę wolności, macie wybór pomiędzy jakimść Aleksandrem Mikołajewiczem a Lejbą Ślamowiczem. Dla demagogji nie ma innej konstytucji, innego „habeas corpus", nad żandarma lub czrezwyczajkę. *Dziadek.*

CHWILA BIEŻĄCA

NIE CZAS NA MIĘKKIE SŁOWA

Po zlikwidowaniu zachodnio-ukraińskiego eksperymentu rząd polski zamiast ustalenia odrazu we wschodniej Małopolsce państwowości polskiej, łącznie z aferą Petlurowską przejął część spadku Petruszewicza, tworząc zeń wątpliwej wartości atut w swych planach ukraińskich.

Wynikająca stąd pobłażliwość dla setek i tysięcy byłych towarzyszy pracy Petruszewicza, bez względu na ich stosunek do polskiej państwowości i bez względu na ich niedawną przeszłość, uprzedzenie wszystkich życzeń ukraińskich i forytowanie ich na każdem polu, a zwłaszcza na polu szkolnictwa, stwarzało w oczach partji ukraińskich nie zaufanie w życzliwości rządu polskiego, lecz raczej przeświadczenie, że rząd ten— słaby sam w sobie i zbyt od wpływów polityki zagranicznej uzależniony— musi być pobłażliwy.

Za bezprogramowych rządów gen. delegata Galeckiego partje ukraińskie zdołały przereorganizować się, ustalić przy silnej agitacji swe wpływy w całym kraju, podkopać najzupełniej powagę rządu polskiego w oczach najszerszych mas, a wyzyskując wszystkie słabe punkty administracji polskiej potrafiły utrwalić system bezkarności i nieopowiedzialności przeciw państwu zwróconą.

Jeżeli w czasie spisu ludności nawet znaczna liczba wójtów narodowości ruskiej odmówiła zeznań do róbryk spisowych wobec urzędnika państwowego to słuszne jest, że powaga państwa w oczach ludności została zdyskredytowana.

Zamach Fedaka i błysk jego strzału rozświetlił labirynt ukraińskiej konspiracji przeciw administracji wschodniej Małopolski. W błysku tym ujrzano więcej, niż można się było spodziewać, ujrzano wyraźny spisek zbrojny, obliczony na wywołanie zbrojnej ruchawki, z góry przeznaczonej na szybką likwidację, a na celu mającej jeszcze większe pogłębienie i utrwalenie bezkarności i odpowiedzialności za wrogą wobec administracji polskiej działalność.

Pod tym kątem też patrzeć się musi na zamiary naszych czynników rządowych w związku z tak zw. likwidacją zamachu Fedaka i tych wrogich państwu poczynań ukraińskich, które zostały przez organa bezpieczeństwa dostatecznie wyświetlone.

Nie czas na czyny miękkie. Rząd polski musi ustalić w całej tej aferze odpowiedzialność a zarazem musi zlikwidować przedewszystkiem głęboko w psychice ukraińskiej ustalone pojęcie bezkarności za zbrodnicze czyny.

BŁĘDNE DROGI Y. M. C. A.

Organizacja Y. M. C. A. dzięki swej pracy humanitarnej i kulturalno-oświatowej, prowadzonej wśród wojska, zdobyła sobie w społeczeństwie polskiem niezwykłą wprost popularność i sympatję. Jeśli przez to nastrój ten w ciągu ostatnich miesięcy uległ radykalnej zmianie, ustępując miejsca coraz wyraźniejszej nieufności i niechęci, bo niewątpliwie sama organizacja Y. M. C. A. usilnie musiała nad tem pracować.

Istotnie, ze strony Y. M. C. A. rozpoczęta została akcja na szeroko zakrojoną skalę. Przystąpiono do tworzenia w Polsce „Związku Mło-

dzieży Chrześcijańskiej", jaknajściślej z Y. M. C. A. związanego, a na poufnych konferencjach, przygotowujących grunt dla tej organizacji, ze strony Y. M C. A. wyraźnie mówiono, iż chodzi o wytworzenie zespołu ludzi, mających w przyszłości odegrać decydującą rolę w naszym życiu państwowym. Jednocześnie zaś, celem rozpowszechniania ideologji tej nowej organizacji zaczęto wydawać miesięcznik dla młodzieży p. t. „Czyn", który za swe zadanie wziął zwalczanie „nacjonalizmu" i „egoizmów narodowych", propagując natomiast miłość ewangeliczną, „socjalizm Chrystusowy" i braterstwo całej ludności. Y. M. C. A. próbowała rozszerzyć swe wpływy na harcerstwo, gdy jednak usiłowania te nie zostały uwieńczone powodzeniem. „Czyn" zaczął się do harcerstwa odnosić bardzo krytycznie, ostatnio zaś redaktor „Czynu" p. Czarnecki ogłosił „List otwarty„ w niesłychanie ostrej formie atakujący harcerstwo i stawiający szereg zarzutów, uwłaczających honorowi kilku z imienia i z nazwiska wymienionych harcerzy List ten, podpisany przez p. Czarneckiego pseudonimem „Stefan Prus", dołączany był do ostatniego numeru „Czynu". Sprawa stała się głośna, gdyż przewodniczący Zw. Harcerstwa Polskiego jen. Józef Haller odpowiedział listem otwartym, stwierdzającym, iż list p. Czarneckiego jest „paszkwilem na organizację harcerską" i zwracającym uwagę, iż obce organizacje do spraw wychowania polskiej młodzieży mieszać się nie mają prawa. Na tym samym stanowisku stanęły też organizacje ideowe młodzieży akademickiej, ogłaszając w gazetach oświadczenie.

Fakty powyższe w znacznym stopniu wzmocniły w społeczeństwie budzącą się w stosunku do Y. M C. A. nieufność. Czy Y. M C. A. nieufność tę rozwiać potrafi, przyszłość najbliższa okaże. Oblicze „Cioci Ymci" jest zagadkowe.

DWIE MYŚLI P. SKULSKIEGO

r. 1919.

1) „...również uważamy za zgubną utopję koncepcję stworzenia Ukrainy. Do sprawy tej nie należy się wcale mieszać, zresztą na imprezie tej zbankrutowały już Niemcy i Austrja i aczkolwiek klub nasz jest dalekim od tego, ażeby przesądzać obecnie przyszły stosunek nasz do państwa rosyjskiego, tem niemniej uważamy, że z powodu Ukrainy nie mamy podstawy do wchodzenia w konflikt z Rosją i że budzenie ruchu ukraińskiego specjalnie przez nas, może się niezdrowo odbić na naszych stosunkach w Galicji Wschodniej".

(Przemówienie z dn. 25/IX 1919 wygłoszone w Sejmie podczas rozpraw nad expose prez. Paderewskiego).

r. 1920.

2) „...Oręż polski pod Twoim przewodem, Naczelny Wodzu, uwolnił od jarzma bolszewickiego Podole, Wołyń i Ukrainę Rząd Rzeczypospolitej wita Cię, zwycięski Wodzu, składa Tobie i bohaterskiemu żołnierzowi polskiemu, walczącemu za najszczytniejsze ideały ludzkości wyrazy czci i dziękczynienia."

(Przemówienie powitalne na dworcu po przyjeździe Naczelnika Państwa z Kijowa).

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk.** Prenumerata kwartalnie **mk. 480,** półrocznie **960**, rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**

Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie **mk. 130;** na przedostatniej **100 mk.,** na ostatniej **110 mk.** (3 szpalty).

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“ Warszawa, Szpitalna 12.